Nr. 27. Sobota, dnia 1-go lipca 1916

# Gość Świąteczny.

Bezpłatny dodatek.

## Na niedzielę trzecią po Zielonych Świątkach.

### LEKCYA

z pierwszego listu św. Piotra, rozdział V, wiersz 6—11.

Najmilsi! Uniżajcie się pod mocną ręką Bożą, aby was wywyższył czasu nawiedzenia, wszystko troskanie wasze składając Nań, gdyż On ma pieczę o was. Trzeźwymi bądźcie, a czujcie, boć przeciwnik wasz djabeł jako lew ryczący krąży, szukając, kogoby pożarł; któremu się sprzeciwiajcie mocni a wiedząc, iż toż utrapienie potyka braterstwo wasze, które jest na świecie. A Bóg wszelakiej łaski, który wezwał nas do wiecznej Swej chwały w Chrystusie Jezusie, maluczko utrapionych On doskonałych uczyni, utwierdzi i ugruntuje. Jemu chwała i moc na wieki wieków. Amen.

### EWANGELIA

u św. Łukasza rozdział XV, wiersz 1—10.

Onego czasu przybliżali się do Jezusa celnicy i grzesznicy, aby Go słuchali. I szemrali Faryzeuszowie i doktorowie, mówiąc: iż Ten przyjmuje grzeszniki i jada z nimi. I rzekł do nich to podobieństwo, mówiąc: Który z was człowiek, co ma sto owiec, a jeśliby stracił jedną z nich, iżali nie zostawuje dziewięćdziesiąt i dziewięciu na puszczy, a idzie za oną, co zginęła, aż ją najdzie? A gdy ją najdzie, kładzie na ramiona swe, radując się. A przyszedłszy do domu, zwoływa przyjaciół i sąsiadów, mówiąc im: Radujcie się ze mną, iżem nalazł owcę moją, która była zginęła. Powiadam wam, żeć tak będzie radość w niebie nad jednym grzesznikiem pokutę czyniącym, niż nad dziewięćdziesiąt i dziewięcia sprawiedliwych, którzy nie potrzebują pokuty. Albo która niewiasta, mając dziesięć drachm, jeśliżby straciła drachmę jedną, iżali nie zapala świecy i wymiata domu i szuka z pilnością, ażby znalazła? A gdy najdzie, zwoływa przyjaciółek i sąsiadek, mówiąc: Radujcie się ze Mną, bom znalazła drachmę, którąm była straciła. Tak, powiadam wam, radość będzie przed anioły Bożymi nad jednym grzesznikiem pokutę czyniącym.

### NAUKA.

„Przybliżali się do Jezusa celnicy i grzesznicy", otaczali Go też prawie ustawicznie faryzeusze, tamci atoli, żeby Go słuchać i z nauki Jego skorzystać, ci żeby Go śledzić, krytykować i wynaleźć, z czegoby Go mogli oskarżyć; tamci przychodzą z dobrą wolą, faryzeusze z zaciętością i z uprzedzeniami swemi. Grzesznicy i celnicy, póki trwają w swych grzechach, oczywiście nic nie są lepsi od faryzeuszów, owszem o tyle gorsi od nich, że szkodzą swoim złym przykładem. Co Pan Jezus rozumie o takich zatwardziałych celnikach i grzesznikach, nie trudno poznać z tego np., że celników stawia na równi w najgorszymi ludźmi, mówiąc: „Jeśliby Kościoła nie usłuchał, niech ci będzie jako poganin i celnik", a i Paweł św. nakazuje: „Jeśli ten, który się bratem" t. j. chrześcianinem „mianuje, jest porubnikiem, albo łakomym, albo służącym bałwanom, albo złorzeczącym, albo pijanicą, albo drapieżcą, żebyście z takowym ani jedli", t. zn. żadnych bliskich i poufałych stosunków z nim nie utrzymywali. O faryzeuszach zaś, t. j. obłudnikach, którzy grzeszą, może nawet więcej i częściej, niż jawnogrzesznicy, ale grzechy swoje ukrywają i w dodatku mądrze i uczciwie gadają, żeby uchodzić przed ludźmi za dobrych, Pan Jezus tylko ostrzega: „Strzeżcie się kwasu faryzeuszów," a nadto: „Cokolwiek wam rozkażą, zachowywajcie i czyńcie, ale we dle uczynków ich nie czyńcie." Dopiero dobra wola, jeżeli sprawia, że kto się przybliża do Pana Jezusa, aby Go słuchać i usłuchać, przemienia i celników, i grzeszników, i faryzeuszów nawet w sługi Boże, a raczej Pan Jezus, „który sprawuje w nas i chcieć i wykonać, wedle dobrej woli" czyni z niesprawiedliwych: sprawiedliwych.

Pomiędzy chrześcianami dzisiejszych czasów, jak w wielu innych rzeczach, tak też pod względem obchodzenia się z celnikami i jawnogrzesznikami mało, albo i wcale nie uważa się na naukę i przykłady Pana naszego. Celnikami naszych czasów są ci, których Paweł św. nazywa drapieżcami, t. j. tacy, którzy, byle unikając kryminału, nie dbają ani o sumienie, ani o uczciwość, jeśli tylko mogą przyczynić sobie dochodu i grosza, np. karciarze, co siebie i drugich zgrywają w karty, zakłady itp., spekulanci, co bez pracy wyzyskując łatwowierność i niedoświadczenie ludzkie, robią grube interesa na giełdach, na zakładaniu i popieraniu banków nierzetelnych, pieniaczy, którzy wygrywają procesy za pomocą kłamstwa, wykrętów adwokackich, albo i przekupstwa itd. Tacy ludzie nierzetelni, o których nierzetelności prawie wszyscy wiedzą, dlatego, że mają pieniądze, póki ich w sądzie nie skazano, zażywają względów nieraz więcej, niż najzacniejsi obywatele. Gdyby społeczeństwo było zdrowe, a nie tak, jak jest nad miarę zarażone bałwochwalstwem dla złotego cielca, toby ono tych nowoczesnych, a gorszych od dawnych celników umiało trzymać na uboczu; zamiast, co teraz ludzie się z nimi bratają, żeby przy sposobności mieć jakikolwiek udział w ich nieuczciwych zyskach. Również dzieje się z jawnogrzesznikami; niejeden, choć ma żonę i dzieci, utrzymuje znane wszystkim stosunki zakazane, a chodzi z podniesionem czołem — osoby skądinąd najczcigodniejsze nie śmią tak jak powinny zamknąć przed nim drzwi domu swego, bo zapanowała zupełna bezkarność, a zepsucie i rozpasanie tem śmielej i coraz więcej się szerzy. Bezbożnym, a więcej jeszcze zajmującym jakiekolwiek stanowisko niedowiarkom, pozwala się głosić płytkie swoje wywody i stroić płaskie żarty i śmieszki z rze-

czy najświętszych i najpoważniejszych, a zarazem dziwią się ludzie, że ubywa wiary i razem z wiarą ubywa zdrowego rozsądku pomiędzy młodzieżą i pomiędzy ludem. Z tem wszystkiem powołują się jeszcze ludzie na dzisiejszą Ewangelią, że przecież sam Pan Jezus przyjmował grzeszników i celników i z nimi do jednego zasiadał stołu. Prawda, czynił to Pan Jezus z nawracającymi się, ale nie z zatwardziałymi i z grzechów swoich chełpiącymi się grzesznikami. To nie byłoby miłosierdziem i pobłażaniem, ale schlebianiem złemu, pozbawionem siły, charakteru i odwagi własnych przekonań. Wszak z rodzaju jawnogrzeszników i celników byli owi, których Pan Jezus biczem wyganiał z świątyni Pańskiej. Pan Jezus umiał połączyć słodycz serca, uprzejmość i serdeczną życzliwość dla wszystkich z nieugiętym hartem duszy i z niezłomną odwagą; nam, małowanym chyba uczniom i naśladowcom Jego, brak najczęściej potrzebnej słodyczy serca, uprzejmości i szczerej życzliwości dla drugich, a już prawie zawsze brak nam hartu duszy i odwagi w wyznawaniu prawdy, zwłaszcza prawdy Bożej.

Jeżeli o kim, to o Panu Jezusie jest prawdą, że „z obfitości serca usta mówią", t. zn. że więcej, wiele więcej jest w Najsłodszem Sercu Pana naszego, niż usta Jego, choć Boskie, wyrazić, a dodajmy, i rozumy nasze krótkie pojąć są zdolne. Z dzisiejszej Ewangelii usiłuj poznać, jakkolwiek przynajmniej, usposobienie tego Najsłodszego Serca. Faryzeusze w zarozumiałości swojej mniemali, że z takimi celnikami i jawnogrzesznikami nie warto i mówić, bo tak są zepsuci, że już nic ich nie nawróci, a nawet nie godzi się i nie można mówić z nimi bez skompromitowania siebie i swojej dobrej opinii. Im się zdawało, że takich należy jedynie gromić i łajać, a najlepiejby było, gdyby, jak niegdyś na Sodomę i Gomorę, spadł i na tych gorszycieli ogień z nieba i wyniszczył ich ze szczętem. Nie tak Pan Jezus; już w starym Zakonie mówi Bóg przez proroka: „Żyję Ja, mówi Pan Bóg; nie chcę śmierci niezbożnego, ale żeby się nawrócił niezbożny od drogi swej, a żył." A w nowym Zakonie tak się okazuje łaskawym na grzeszników, że naraża się u faryzeuszów i im podobnych na zarzut: „ten przyjmuje grzeszniki i jada z nimi". Niejeden z tych, o których wspomina dzisiejsza Ewangelia, nabrał otuchy, widząc, jak Pan Jezus i dla najbiedniejszych i najwstrętniejszych, jakimi byli trędowaci, zawsze jest przystępnym, chętnym i uczynnym; inni posłyszeli, jak się obszedł ze znaną z lekkomyślnego życia Magdaleną i budziła się w nich nadzieja, że i oni przy pomocy Jego wybrną jeszcze z grzechów, które ich niepokoiły i wstydem napełniały; inny znów coś wiedział o tem, jak Pan Jezus wybawił jawnogrzesznicę od czekającego ją już ukamienowania i to go do Niego pociągało. Przyjmuje ich Pan Jezus nie łajaniem lub wytykaniem im w oczy grzechów ich, ale nie upokarzając ich i bez niepotrzebnego drażnienia ich miłości własnej usiłuje ich przywieść do poznania samych siebie w sposób podobny, jak to uczynił był z Samarytanką przy studni Jakóbowej; jedno słowo Jego: „przywołaj męża twego" otworzyło jej oczy na stan własnej duszy, a jednak tak, że nie przypisywała tego sobie, ale wyłącznie łasce Jego. Pan Jezus grzeszników, pragnących się nawrócić, przyjmuje tak jakby oni Jemu, a nie On im łaskę wyświadczał; bo i rzeczywiście nie było jeszcze i nie będzie grzesznika, któryby choć w części tak gorąco pragnął odpuszczenia grzechów, jak On tego z całego serca mu życzy. On bo lepiej, niż ktokolwiek zna całą ohydę grzechu i całą straszność wiecznego potępienia; On też więcej miłuje i rozumniej miłuje każdego z nas, niż my pojąć nawet zdołamy. Dlatego Pan Jezus postępuje tak, jak ten pasterz w przypowieści, który nie pędzi owieczki odnalezionej przed sobą, nie prowadzi jej targając postronkiem za sobą, ale bierze ją jak matka dziecko na ramiona, pieści i dźwiga, póki nie odniesie do owczarni swojej. Gdyby niejeden grzesznik zrozumiał, jak słodkim jest Pan i jak słodkie z Nim po szczerem nawróceniu przestawanie, to prędko porzuciłby grzechy swoje, które obiecują słodycz i zadowolenie, a nie dają jeno gorycz i rozczarowanie; i nawróciwszy się wychwalałby, wielbił i całem sercem pokochałby Pana naszego, który jest błogosławiony na wieki!

X. J.

---

# DZWON.

Rozkołysany dzwon cudnej roboty
Chwiał się w powietrzu, a w słońcu promieniu
Błyskał, choć z bronzu, jak gdyby był złoty,
A na spiż czerniał, gdy znalazł się w cieniu.
Niezmordowanie powtarzał obroty;
Podziw się szerzył wśród patrzących ludzi,
Że dzwon tak wielki, a jednak nie budzi
Żadnych porywów, marzeń ni tęsknoty.
Próżno słuch prężą: w powietrzu się trzyma
Jeno wark głuchy, zresztą żadna nuta
Skłóconej sfery dźwiękiem nie przewierca.
— Co to jest? Czemu nie słychać olbrzyma?
Lśniąca powłoka misternie wykuta
Była, lecz wewnątrz brakowało — serca.

Gustaw Daniłowski.

---

# ZAMIANY.

(Z hiszpańskiego.)

Żył w Bilbao bardzo bogaty Indyanin, który oprócz niezliczonych skarbów, posiadał dziesięć sztab złota; każda z nich ważyła po sto funtów. Przywiózł je był z Potosi, gdzie się zbogacił eksploatując minę.

Ów Indyanin miał od lat dziesięciu wiernego sługę Marcina z Elloriaga, miasteczka z okolic Wittoryi. Przez ten czas Indyanin odbył kilkakrotnie podróż do Ameryki. Wyjeżdżając w drogę, temi słowy żegnał zawsze Marcina:

— Pamiętaj Marcinie dobrze pilnować domu, a za to, jak zechcesz oddalić się ze służby, otrzymasz piękny upominek.

Marcinowi w końcu naprzykrzyła się służba, pragnął co prędzej powrócić do Elloriaga, tam zamieszkać z podeszłą matką, i osłodzić ostatnie lata matrony, której był jedynym synem. Wprawdzie nie odłożył on ani fenyga z pobieranych zasług, wszystko bowiem, co zarabiał, zwykł był odsyłać matce.

— Mnie niewiele potrzeba, mawiał do siebie Marcin, poprzestanę na małem, ale co wolę, to wolę jeść własny chleb, jak cudzy. Mój pan dobry, nie można nic przeciw temu powiedzieć, jednakże to służba nie rozkosz. Wrócę do matki, będę praco-

wał w domu i nie zbraknie nam chleba. A do tego przecież pan obiecał mi podarunek, kiedy będę opuszczał służbę.

Wkrótce potem Marcin, pożegnał pana, a ten, dotrzymując obietnicy, darował mu w nagrodę za wierność jedną z owych sztab złota, które przywiózł był z Ameryki. Marcin odszedł szczęśliwy, jakby go kto na sto koni wsadził.

Obwinął sztabę złota w płócienną szmatę, oparł ją na ramieniu, i ruszył w drogę śmiało. Ale zaledwie że uszedł dwie mile, czuł się tak zmęczony, że nie mógł już ani kroku postąpić. Słońce przypiekało silnie, było to bowiem w czerwcu; pot grubemi kroplami spływał z czoła Marcina. Usiadł więc na murawie, aby chwilę odetchnąć. Tymczasem nadjechał jeździec na dzielnym koniu.

— Jaki on szczęśliwy ten jeździec, pomyślał Marcin. Nie męczy się tak jak ja, nie kaleczy sobie nóg o kamienie, nie drze butów, i przez parę godzin ujedzie dalej, niż ja ulezę przez dzień cały. Oj, ucieszyłażby się moja matka, gdybym do niej zajechał na takim koniu.

— Przyjacielu, widzę, żeś okrutnie zmęczony, — rzekł jeździec, mijając Marcina. — Na taki skwar ciężko iść piechotą, a do tego z tłomoczkiem, choć twój zapewne niewiele waży.

— Niewiele waży! — odrzekł śmiejąc się Marcin. — Popróbuj-no pan tylko.

— A cóż to u licha, czy ołów? — zagodnął podróżny, wziąwszy w rękę, tłómoczek, który mu podał Marcin.

— Nie panie, to złoto, szczere złoto, jak mi Bóg miły, zobacz pan, — to rzekłszy, odwinął szmat płócienny.

— Prawda! zkądże go masz, czyś odkrył jaką minę?

— Nie panie, dostałem to w podarunku od Indyanina, u którego służyłem lat dziesięć.

— Potrzeba cudu, żebyś przeszedł z nim wąwóz Urquiola, bo tam jak wiesz, zbójcy czatują dniem i nocą na podróżnych.

— Tam do licha! — zawołał Marcin z trwogą, gotowem rzucić precz to złoto, byle tylko ujść z życiem.

— Jeżeli chcesz, możemy się pomieniać.

— A tóż na co?

— Ty mi daj sztabę, ja ci dam konia z rzędem.

— Nie mam nic przeciwko temu!

Jeździec zsiadł z konia, pomógł wsiąść Marcinowi, i wziąwszy sztabę złota na ramię poszedł piechotą, Marcin wyprzedził go na koniu.

Koń Marcina niósł bardzo ciężko; to też ledwie że dojechał do Zornoza, o trzy mile od Bilbao, biedny nie czuł już kości, krew w pulsach biła mu jak młotem, a świat kręcił mu się przed oczyma.

— Przeklęty koń! — zawołał z rozpaczą; — wolałbym sto razy iść pieszo. Ale wypuszczę go w cwał, kto wie, może pójdzie lepiej galopem.

To rzekłszy, zaciął konia pręcikiem. Koń poskoczył jak strzała, a że z Marcina nie tęgi był jeździec, otóż więc pod Durangą, o pięć mil od Bilbao, stracił równowagę, i jak długi powalił się z konia na ziemię.

W tej właśnie chwili, szedł naprzeciwko Marcina wieśniak, prowadzący krowę za rogi. Gdy spostrzegł co się stało, przybiegł mu w pomoc, ocłodził mu czoło wodą z bliskiego zdroju i w końcu przywrócił go do zmysłów. Koń tymczasem i krowa pasły się pomiędzy drzewami.

— Przeklęty koń i całe jego plemię! — rzekł Marcin, skoro tylko odzyskał mowę. — Jak przybędę do Durangi, sprzedam go za byle co; nie wsiadłbym już nań za wszystkie skarby świata. Piękna mi rozrywka, rozklekotać sobie stawy, a w dodatku jeszcze dostać guza. Szczęśliwi wy mój gospodarzu, idziecie sobie pomaleńku przy krowie, a co lepsza, w razie pragnienia lub głodu, macie czem posilić się lub napoić.

— Ha, gdybyście chcieli mój panie, — rzekł wieśniak, mam ja dzięki Bogu kilka krów, ale jednego tylko konia, brak mi drugiego do pary; może się zamienimy?

— I owszem — zawołał uszczęśliwiony Marcin.

Wieśniak wsiadł na konia i jechał dalej drogą Marcin tymczasem szedł w przeciwną stronę przy krowie, i mówił do siebie:

— Wyborną zrobiłem zamianę! Jak mi się tylko jeść zachcę, przywiążę krowę do drzewa i posilę się mlekiem. I tak zajdę do Elloriaga, nie wycierając kątów po gospodach i nie marnując grosza. Jak wrócę do domu, będę pasł byle czem moją krówkę, i będę miał dostatkiem mleka i cielat, a jak się zestarzeje, sprzedam ją rzeźnikowi, a w to miejsce kupię sobie młodą. Udał mi się handel, niema co mówić. Oj, ucieszysz się moja matula, a będzie robić z mleka masło, serek i inne przysmaki.

Dochodząc do Manaria, o sześć mil od Bilbao, Marcin musiał poganiać kijem krowę, gdyż ta znużona skwarem letnim, ledwie że powłóczyła nogi. Biedny Marcin czuł sam głód i pragnienie, ale nie chciał pić wody ze studni, ani wstąpić do gospody na posiłek, lecz mówił sam do siebie:

— Niech ja tylko zajdę na brzeg Urquioli, odpocznę sobie i popasę krówkę na łące; a potem wydoję ją i napiję się mleka, co mi będzie zdrowiej niż gdybym pił wodę studzienną, lub zjadł byle co w gospodzie.

Z niesłychaną trudnością biedny Marcin doprowadził krowę do rzeki, musiał ciągnąć ją za rogi, z całą siłą; parę razy nawet stracił cierpliwość, i jął porządnie okładać ją kijem; przybył nakoniec, i szczęśliwy jakby się narodził na nowo, przywiązał krowę do drzewa,, ciesząc się nadzieją rychłego posiłku.

Dobył z worka kubek i począł doić krowę, ale czy to, że krowa figala nogami, czy to, że nie umiał jej doić, czy wreszcie, że była zmęczona, dość, że ani kropla mleka nie padła w kubek. Biedny Marcin ciągnął całą siłą za wymię, czem nakoniec krowa zniecierpliwiona, uderzyła go w bok kopytem, aż się przewrócił jak długi. Nie dosyć na tem jeszcze, przyskoczyła i mocno ubodła go rogami.

Marcin klął na czem świat stoi. Zarzekał się, że skoro tylko zajdzie do Ochandiano, sprzeda za byle co niegodziwą krowę. Gdy tak przemyślał — spostrzegł idącego naprzeciwko siebie człowieka, z pięknym i tłustym wieprzem.

— A cóż to wam się stało? — zapytał nieznajomy.

— Co mi się sało? — oto chciałem wydoić tę przeklętą krowę, a ona tak mnie poturbowała kopytem i rogami, żem ledwie żywy z bólu.

— Znać mój panie, że się nie znacie na krowach! Jakże ona ma dać mleka, kiedy stara jak Matuzalem, i zdatna tylko na rzeź.

— Niech mnie kaci porwą, — zawołał Marcin, a ja obiecywałem sobie, że mi opatrzy dom w ser i masło.

— Aby opatrzyć dom w żywność, nie ma jak kupić wieprza. Wyżywisz go resztkami z kuchni, i upasiesz bez kosztu.

— Dobrze mówisz panie.

— A gdybyśmy się też pomienlali?

— Jak najchętniej.

I w mgnieniu oka dobili targu. Nieznajomy dobył z torby flaszkę wina, wypili obaj po szklaneczce, zakąsili chlebem — i rozeszli się w przeciwnie strony, Marcin z wieprzem, a nieznajomy z krową.

— Wyborny handel! — rzekł Marcin sam do siebie, zacierając ręce z radości. Oj szczęśliważ będzie moja matula, kiedy jej przyprowadzę tego wieprza. Ona taka oszczędna i zabiegła, pokarmi go przez jesień kartoflami, a da Bóg doczekać zapust, zabijemy go i będzie co jeść przez całą zimę. Nie ma zaprawdę jak wieprz! Dopieroż to będzie uciecha, widzieć w śpiżarni tyle szynek, kiełbas, słoniny i innych przysmaków. Znać, że musiałem w czepku się urodzić, kiedy mam tyle szczęścia.

Tak przemyślając szedł Marcin pomału, w tem napotkał człowieka, niosącego prześliczną gęś białą jak mleko.

Marcin rad z dobitego targu, w wybornym był humorze, przyszła mu też ochota do pogawędki.

— Wieleżeś mój bracie dał za tego ptaszka? — zapytał podróżnego.

— Piękny mi ptaszek, a zobacz no jegomość ile waży.

— A niech ją kaci porwą, jaka ciężka! — rzekł Marcin podnosząc gęś za skrzydła.

— Nie darmo też od dwóch miesięcy pasiono ją mięsem i orzechami.

— Niesiesz ją pewnie na targ do Durana?

— Nie, mój panie, niosę ją do domu. Wyprawimy z niej tęgą ucztę.

— Dobra rzecz gąska mój człowieku, ale będę ja miał lepszą ucztę z mojego wieprza.

— Gdzież go jegomość nabył?

— Niedaleko ztąd w Urquiola.

— Radzę jegomości żebyś się z nim nie pokazywał w Ochandiano.

— A to czemu?

— Bo to pewnie ten sam, którego dziś w nocy złodzieje ukradli Alkadowi.

— Jakto? — zawołał Marcin, dziś w nocy skradziono Alkadowi wieprza?

I zadrżał z trwogi, aż włosy stanęły mu dębem na głowie.

— Tak mój panie, — rzekł podróżny. — niechże Alkad odkryje złodzieja, a zaleje mu dobrze za skórę, i potrzyma w więzieniu.

— Tam do licha, — zawołał Marcin — przypuśćmy, że ten wieprz ukradziony, cóżem ja temu winien? przecież go sam nie ukradłem!

— Aleś go nabył od złodzieja, co na jedno wychodzi.

— Co tu począć? na Boga?

— Człowieku! nie trać-że głowy, chcesz to się pomieniamy, daj mi wieprza, a weź sobie tę gąskę.

— Nie mam nic przeciwko temu.

— Idźże sobie śmiało z gęsią przez miasto, ja uszczę się manowcami, żeby zejść ludziom z oczu, bo pewien jestem, że to ten sam wieprz, którego ukradziono dziś w nocy Alkadowi.

I rozeszli się. Marcin szczęśliwy z zamiany poszedł śmiałym krokiem do Ochandiano.

(Dokończenie nastąpi.)

# TO I OWO.

## PSY POLICYJNE.

Dzienniki paryskie przypominają, że psy już w starożytności używano do służby wojskowej i policyjnej. Grecy powierzali straż swych obozów i szańców molosom. Korynt przez długi czas nie miał innego garnizonu. W Rzymie Kapitol był również strzeżony przez psy aż do tej słynnej nocy, w czasie której ujęte zbyt głębokim snem, łatwo dałyby się podejść Gallom, gdyby czujniejsze od nich gęsi nie podniosły alarmu, pozyskując w ten sposób na zawsze poszanowanie Rzymian. Cymbrowie i Celtowie układali gromady brytanów do rzucania się na szeregi nieprzyjacielskie. Rzymianie, według Strabona, nie gardząc tym przykładem barbarzyńców, umieli doskonale wyszukiwać na wyspach Brytańskich ogary i brytany, których rasa już wówczas miała ustaloną sławę. W późniejszych czasach, te straszliwe psy Irlandyi i Szkocyi odegrały ważną rolę w wojnach Wielkiej Brytanii. Skorzystano z siły i odwagi mastiffów, przeznaczając je do napaści na nieprzyjaciela i z delikatnego węchu bloodhoundów, używając ich do tropienia śladu uciekających żołnierzy. Psy krew tropiące służyły w XII i XIII wieku królom Anglii w walce ich z Brucem i Wallącem. W XVI stuleciu, Henryk VIII, sprzymierzywszy się z cesarzem Karolem V przeciw Francyi, posłał mu w pomoc korpus wojska, do którego przyłączył 400 psów. Za panowania Elżbiety, hr. Esseks prowadził z sobą 800 psów, wyruszając na wyprawę do Irlandyi. Ogary te skakały do nozdrzy koni i niepokoiły jazdę.

»Ongi — pisze Brehm — wsie i folwarki, położone na granicach Anglii i Szkocyi, tudzież w Northamptonschire, obowiązane były utrzymywać psiarnię, złożoną z bloodhoundów, które miały odpierać napady maruderów. Z pomocą tych psów ścigano złodziei i zabezpieczano drogi od rozbójników. Zwierzęta te dziś jeszcze pełnią w Anglii obowiązki policyantów, sprawiedliwość odwołuje się do ich nieporównanej przenikliwości w wypadkach, gdy najwięcej doświadczeni policyanci opuszczają ręce. W razie naprzykład, gdy chodzi o wynalezienie ciała ofiary, które ukrył morderca, chociażby jak najgłębiej trup był zagrzebany i jak najstaranniej zatarto wszelki ślad pogrzebania zwłok, bloodhoundy nie potrzebują długiego czasu do ich wyśledzenia. Wytrapiają one prócz tego najmniejszy ślad krwi, a nawet wszelki ślad człowieka z pomocą węchu nigdy ich niezawodzącego«.

Hiszpanie wprowadzili do Ameryki i Anglii rasę psów wojowniczych, które były mieszańcami molosów i psów krew tropiących, zwanych psami meksykańskiemi lub psami z Kuby. Zwierzęta te były dla zdobywców Nowego Świata potężnemi pomocnikami. Krzysztof Kolumb miał ich dwa dziesiątki w oddziale wojska, który stoczył pierwszą bitwę z Indyanami.

Ten posiada naukę życia, kto umie być szczęśliwym bez krzywdy drugich.